

„Cyganeria“ w Poznaniu

Po pierwszym tryumfie dr Zygmunta Latoszewskiego w niedawno wystawionym „Strasznym Dworze“ nastąpił spodziewany — drugi. Był nim uroczysty wieczór premiery „Cyganerii“ Pucciniego. Miłośnicy najbardziej melodyjnej muzyki z wielkiego repertuaru scenicznego nie zawiedli się na poznańskim wykonaniu. Melodie obiegły cyklem cały świat i wdrażyły się głęboko w dusze słuchaczy. Pozostały na zawsze, mimo, prądom i modom muzycznym, mimo, że weryzm ustąpił miejsca innym że wagnerowski kwartet mosiężnych lub z „Tetralogii“ na długie lata przytłoczył basowym diapazonem „melodyjność“ italską. Opery Pucciniego mają wszelako na zawsze zakontraktowaną pozycję w repertuarze scenicznym. Zwyciężyły konkurentów bezpośredniością wyrazu artystycznego i tak uporczywie poszukiwaną z widowni prawdą na scenie.

Józef Woliński czuł się w nadzwyczajnej formie wokalne. Słynna aria z pierwszego aktu zachwycała zupełnie słuchaczy. Woliński czuje się w stratosferycznych wysokościach tej arcytrudnej partii tenorowej całym swoim, i ani jeden „ryzykowny“ ton nie spadł pod rampę. A przyczyny tego są dwie: nie ma ryzyka w wokalistyce Pucciniego, który sam był znakomitym śpiewakiem i wiedział najlepiej, co można pisać artystom, a po drugie Woliński nie od dziś para się zwycięsko z najrozmaitszymi rolami na scenie. Malarza Marcelego śpiewał Czesław Kozak. Gdyby tylko jeszcze nastąpiła poprawa w dykcji (syczące spółgłoski!) wszystko będzie na jak najlepszej drodze ku wysokim poziomom sztuki odtwórczej. Schaunarda-muzyka z zadowoleniem słuchaliśmy w interpretacji Zygmunta Mariańskiego, który coraz więcej daje do poznania, jak

bardzo jest użyteczny na dobrej scenie operowej. Karol Urbanowicz po mistrzowsku wyreżyserował całe przedstawienie i niebawem „młodym“ głosem przypomniał nam — starym bywalcom — swe najlepsze wieczory sprzed wojny. Ze wzruszeniem słuchaliśmy arietki o starej pelerynie w ostatnim akcie. Jakżeż bliska ta piosenka „Starej kapocie“ Moniuszki do słów Berangera, w przekładzie Syrokomli! Słowa miłego uznania należą się oczywiście Hugonowi Zatheyowi zarówno za grę, jak i za śpiew. Ramolowaty właściciel domu (Albin Fehner) nie dał poznać swego właściwego głosu, gdyż kazano mu — słusznie zresztą — chrypieć. Jednak sylwetkowo całkowicie na miejscu. Dźwięcznie odezwał się kilkakrotnie w drugim akcie Juliusz Bieńkowski w partii sprzedawcy zabawek.

Stani Zawadzka nie pierwszy raz śpiewa partię Mimi. Słuchano jej z przejęciem, gdyż wspaniała kunszt wokalny, jaki wywiodła po długim pobycie z Italii operowej może być przykładem dla „młodych i najmłod-

szych śpiewaczek, które o sztuce tej mają „zielone“ wyobrażenie a w najlepszym razie kilka płyt ze stereotypowymi ariami, wołąc śpiewać łatwiejsze „piosenki o mojej Warszawie“. Aktorska gra i znakomite opanowanie trudności wokalistycznych partii Mimi wywarły na wszystkich zrozumiałe wrażenie. Byliśmy długo pod urokiem wielkiej sztuki.

Zofia Fedyczkowska w roli Musetty wywołała swym zjawieniem się niebawem zachwyt. Już jako kolorystyczna plama o pomarańczowej barwie na tle szarego tłumu Paryżan stanowała nader żywy kontrast. Aktorskie opanowanie roli, świetna forma wokalna i nielada muzyczne dostosowanie nasilenia głosu do licznych „ensembli“ pozwoliły nie ostatni raz stwierdzić, że bez Fedyczkowskiej bardzo źle byłoby na poznańskiej scenie. Oto niezbędna Kariatyda, i jaka miła do tego!

Któż mógłby lepiej wymalować Paryż artystów, jak nie Zygmunt Szpingier, który w tym mieście przeżył kilka lat! Zaułki, wystawy sklepików, szare a wysokie ściany ka-

mienic — wszystko to miało przekonujący rumieniec życia paryskiej cyganerii. W dodatku trzeba wspomnieć o nader przyjemnych kostiumach aktorów. Te spencerki, plastrony i faliste peruki w niczym nie pachniały kabotyństwem a były mile wzruszające.

Orkiestra najsumienniej opracowana przez dr Z. Latoszewskiego grała tę muzykę delikatną i pastelową niczym jakiś estradowy utwór symfoniczny. Gdyby nie zbyt drastyczny może „trzask“ puzonów i waltorni — mielibyśmy zachwycająco piękne brzmienie tej młodej przecież orkiestry. Sola skrzypcowe Tadeusza Szulca potrafiły wzruszyć swą doskonałością dźwiękową nawet najbardziej krytyczne serca.

Na widowni — wszystko według tradycji „Cyganerii“! Jak zawsze, tak i na poznańskiej premierze wzruszenie kazało pewnie płakać licznym damom, tkliwie tkniętym smutnym losem biednej Mimi.

Zachwycające przedstawienie.

Jerzy Korab.